

## ROZDZIAŁ 2

Ogłuszający ryk wybuchnął nad Binnenhofem i rozszedł się echem pod niskim ołowianym niebem, przewalając się przez centralne dzielnice Hagi. Barbarzyński rumor wdarł się również przez otwarte okno i ciche do tej pory pomieszczenia Nieuwe Kerk wypełnił niespodziewany hałas. Zaskoczony, pastor Luuk Visser wypuścił z zaciśniętej pięści trutkę na szczury, którą miał zamiar wymieszać z zawartością kielicha mszalnego.

Śmiercionośne kryształki rozsypały się jak deszcz ze śniegiem po ukrytej armarii, z delikatnym stukotem opadły na misternie zdobiony złotem pojemnik na hostie, pokryły filigran tabernakulum, odbiły od lekko wgłębionej krzywizny pateny i osiadły niczym łupież na nieco już żółciejącej lnianej komży. Zebrały się niczym miniaturowe zasy pyłeczne w rogach schowka, za różańcem i posążkiem Świętej Dziewicy. Parę utkwiło nawet pomiędzy popękana skórą stareńkiego mikroskopu. Trucizna była wszędzie, tylko nie w winie.

Visser strząsnął kryształki z komży do kielicha, nasycając wino trucizną. Ręce mu się trzęsły, kiedy zbierał trutkę na złożoną dłoń. Próbował działać jak najszybciej, w razie gdyby agenci Gildii wykopali drzwi, zanim trucizna zwali go z nóg i pozbawi świadomości. Przecież czarnoksiężcy zegarmistrzowie i ich groteskowi nakręcacze mogli wpaść tutaj dosłownie w każdej chwili.

Samobójstwo było grzechem śmiertelnym – cóż za ironiczna śmierć dla zakamuflowanego katolika. Pozbawić się łaski bożej w ostatnich chwilach swojej trwającej dziesiątki lat posługi kapłańskiej ku chwale Stolicy Apostolskiej? Umrzeć za przekonania to umrzeć śmiercią męczeńską; było to w jego sytuacji jedyne akceptowalne rozwiązanie. I zupełnie szczerze, taki los ciążył na nim od dnia, kiedy przyjął święcenia. Lecz Wielka Kuźnia budziła grozę zarówno wśród ludzi, jak i maszyn, zaś droga męczeństwa już dawno utraciła dla Vissera swoją podniosłość – nie czuł już tego, co wtedy, gdy jako młody idealista całował na Quebecu papieski sygnet. Znał to, czego nie poczuł żaden z wyświęconych niedawno księży: dźwięk i smród człowieka ściśniętego rozgrzanymi do czerwoności szczypcami. Krzyki, odór, jakby przypalano świńską skórę... Z pewnością jego kohorty zostały poddane jeszcze przed egzekucją gorszym torturom, a każdy wypluł z siebie wszystko, co tamci chcieli wiedzieć, łącznie z tożsamością ostatniego francuskiego szpiega należącego do rozbitej siatki. I nie tylko jakiegoś tam szpiega, ale też ukrytego papisty, działającego pod przykrywką cenionego protestanckiego pastora. Agent, który nie bez bólu przeniknął do samego serca Imperium. Nakręcacze dopadliby go ze złowrogą radością. Stąd decyzja o trutce.

Był grzesznikiem tkwiącym w kleszczach strachu. Z jednej strony mógł wyznać swą wiarę i cierpieć wymyślnie mroczne tortury Nadleś-

nictwa. Z drugiej odrzuciłby honor dokonania żywota męczennika i świadomie przyjąłby na siebie grzech śmiertelny. Trzęsącymi się dłońmi przewrócił niewielką cynową bańkę, krzyżmo zabulgotało. Olejek oliwkowy przywieziony przed konsekracją z holenderskiego sadu nad Morzem Śródziemnym rozlał się na komżę i przelał przez krawędź schowka. Cieniutkie strużki sunęły po gipsowej ścianie. Teraz, gdy Visser zamknął już armarię, święty olejek uformował lśniąca plamę o wyraźnych brzegach, przez co nawet i najmniej ogarnięty nakręcacze odkryłby, że za ścianką szafy mieści się schowek. I znalazłby katolickie paraferalia oraz, co gorsza, mikroskop.

– Cholera jasna – wymamrotał Visser.

„Tak – pomyślał, będąc w cokolwiek fatalistycznym nastroju – minęła już chwila, odkąd byłem naiwnym nowicjuszem z Quebecu”.

Zawahał się. Czy jest sens wycierać tę plamę? Tylko odwleka to, co nieuchronne.

I tak byłoby już po nim w chwili, kiedy nakręcacze i ich ludzcy panowie wmaszerowaliby do środka. Znaczyłyby to bowiem, że kontakt w siatce Talleyranda go wydał. Jaką różnicę miałyby robić, czy znajdą dowody na jego sekretne oddanie papieżowi? Przecież była to ledwie formalność, i tak podłożyliby mu gdzieś jakąś katolicką Biblię czy posążek Dziewicy („Gdy go nakryliśmy, modlił się do bogów cudzych”, tak by powiedzieli). Formalność. Nie ma sensu ukrywać swojej przynależności do Kościoła watykańskiego. Tylko...

Mikroskop. Zagotował się z gniewu. Tyle lat pracy, dekady uważnych obserwacji prowadzonych tuż pod nosem królowej. Słynny pastor Visser flirtował z grzechem pychy, kiedy od momentu, gdy wszedł w posiadanie urządzenia, dumął nad jego niespotykanymi i rozległymi możliwościami szpiegowskimi. Ale była to pusta duma: kobieta, która ukryła mikroskop za puszką na datki, została następnego ranka pochwycona przez nakręcaczy. A kiedy Visser połapał się, że to nie żaden tutejszy szczęście, ale starannie zaplanowana operacja wymierzona w siatkę Talleyranda działającą na ulicach Hagi, było zbyt późno. Jego kompani zniknęli w lochach Nadleśnictwa znajdujących się w budynku Świętej Gildii Horologów i Alchemików. Gdyby stało się to zaledwie parę dni później, zdołałby posłać artefakt do Nowego Świata. Ale się nie stało i nie posłał. A teraz utknął tutaj z tą przeklętą rzeczą.

Niech to szlag. Szkoda, że tak się złożyło. Teraz nawet myśl o rzekomej nieomyślności wyroków boskich była mu marnym pocieszeniem. I to na tyle, że podkopała jego i tak już dostatecznie zerodowaną wiarę.

Został odcięty i nie miał jak posłać wiadomości do głowy francuskiej siatki szpiegowskiej. Wieści o egzekucji na pewno dotrą i do Nowego Świata, ale Talleyrand nie będzie znał szczegółów, nie dowie się, kto został przy życiu. I co najgorsze, nie będzie miał pojęcia, że francuskim agentom nareszcie udało się wykraść ściśle tajną technologię Gildii.

Co zamierzył Pan, jeśli nie dalsze działania w służbie Jemu? Czemu więc, kiedy Visser był już tak blisko, podstawił mu nogę? Niezbadane są ścieżki Pana. Niech więc tak będzie. Lecz czasem Visserowi wydawało, że Bóg bywa nieznośnie kapryśny.

Ostatecznie zdecydował, że skoro to boski plan, nie ma co chować materiału dowodowego. Tak czy inaczej prędzej by skisnął, niż udałoby mu się wytrzeć do sucha rozlane krzyżmo, wiedział o tym nawet i byle diakon. Niech horolodzy zajmą się tym bajzlem.

Strząsnął ostatnie kryształki trucizny do kielicha. Złożył drżące dłonie i pochylił głowę.

– Panie – szepnął – proszę Cię o wybaczenie tego, co zamierzam zrobić. Zawsze byłem Twoim oddanym i chętnym sługą. Ale nie jestem już młody i moje ciało słabnie...

Rozległ się łoskot otwieranych ciężkich drzwi. Twarde jak diament metalowe stopy zapiszczały na marmurowej posadzce. Rozniosło się echem pośpieszne tykanie, płynące ku wysokiemu sklepieniu oktagonalnego kościoła. Przyszli po niego.

– Cóż – zakończył prędko – resztę chyba znasz. Do zobaczenia niedługo. Amen.

Uniósł kielich. Skrzywił się, kiedy chłodny metal dotknął jego ust. Znany zapach sfermentowanych owoców nie mógł zamaskować drażniącego nozdrza odoru toksycznych chemikaliów. Miał nadzieję, że wypaczona komunika smakowała lepiej, niż pachniała. Czuł wstyd, że nie poszedł za przykładem Chrystusa. Brakowało mu odwagi, aby jak On oczekiwać na swój los w Ogrójcu. Nagle w pustym kościele rozbrzmiał przeciągły, atonalny szum głosu klakiera.

– Dzień dobry. Pastorze Visser? Jest pan tam?

Visser zamarł z kielichem. Ze strachu zadrżała mu dłoń i na powierzchni zatrutego wina pojawiły się zmarszczki. Czy ktoś kiedyś słyszał mówiącego po ludzku nakręcacza? Ich stwórcy świadomie uczynili tych tępych brutali niemowami, lepiej jest bowiem cierpieć w ciszy. Nasłuchiwał. Kroki pojedynczej pary stóp, a nie podwójna synkopa czterech nóg. Zacisnął palce na kielichu, gotowy przechylić go i wypić zawartość jednym haustem, po czym otworzył drzwi zakrystii. Ku ołtarzowi szedł zwyczajny klakier, sługa, uginając swoje odwrócone kolana.

– Pastorze Visser? – W jego głosie pobrzmiwała nagłość, pełen trwogi zaśpiew wynikający z dojmującego bólu, którego nie udało się opanować.

Klakier trząsnął się tak bardzo, że jego sylwetka zdawała się nieco rozmywać. Udręczona maszyna musiała się czuć przygnieciona ciężkimi *geas*, które wkroczyły w ostateczną fazę ponaglenia. Na ten widok Vissera aż zakłuło w sercu. I to na tyle mocno, że jego obowiązkiem było ulżyć tej istocie, nawet jeśli oznaczałoby to ryzyko wpadnięcia w łapy

Nadleśnictwa. Być może pozwoli im przyjść po siebie w ogrodzie. Spędziłby swoją noc w Ogrójcu na modlitwie i trwożeniu się, ale byłby gotowy na przyjęcie swojego losu. Szarpnięcie empatii wystarczyło, aby przezwycięzył swój strach przed męczeństwem. Zaiste, niezbadane są ścieżki Pana.

– Dzięki Ci, Boże – szepnął, zwracając oczy ku niebu. – Chwilę – zawołał.

Odstawił kielich na szafkę, zamknął armarię, a następnie szafę. Po rzucie okiem na swoje odbicie i upewnieniu się, że nie znać po nim zdrady ani nie przylepiły mu się do odzienia drobinki trutki na szczury, wygładził szaty. Nie chciał wyglądać jak szpieg przyłapany na próbie samobójczej ani jak ksiądz, który niemal postąpił niezgodnie ze swoimi przekonaniem.

I miał nadzieję, że tak nie wygląda.

Wyszedł z zakrystii. Im bliżej był maszyny, tym bardziej wydawała mu się rozedrgana – cierpiała katusze niewypełnionego obowiązku i drżała szybciej, niż ludzkie oko mogło zarejestrować. „Pozwolę mu zrobić swoje. Jeśli załatwię to szybko, ulżę jego cierpieniu, zanim rozpocznie się moje”.

– Czym mogę służyć?

Zwykle zwracał się do maszyn szorstkim tonem chłodnej obojętności, co było częścią kulturowej podstawy Imperium. Dobrobyt uzyskany na barkach niewolnictwa zawsze znieczulał ludzkie serca na krzywdę wyrządzoną. Visser od lat trzymał się tej pozy, choć nie zawsze było mu lekko, bo ciągnęło go do zwyczajnej katolickiej dobroczynności. Lecz teraz, kiedy wybrał ścieżkę męczennika, mógł sobie pozwolić na okazanie serca, powiedzieć to, czego nigdy nie śmiał.

Spojrzał na zegarek na ręce, zastanawiając się, czy zdąży załatwić tę sprawę z klakierem, zanim przyjdą po niego nakręczacze. Horolodzy byli przebiegli, ale leśnicy najgorsi. Czy wizyta sługi była elementem jakiejś intrygi mającej na celu wywabienie go z zakrystii? Metaliczny hałas zdradzający podenerwowanie – brzęki, szczęki, grzechoty, buczenia – rezonował w sklepieniu kościoła. *Geas* musiały zostać nałożone z ogromną niecierpliwością, zaś ich dopełnienie zostało niedopuszczalnie przeciągnięte. Co być może potwierdzałoby teorię o zaplanowanej intrydze.

Klakier się uklonił. Nawet szarpany szponami bólu był niezmiennie uprzejmy. Spazmy i drgania utrudniały zrozumienie tego, co mówił, ewidentnie nie szła mu odpowiednia modulacja, ale i tak struny i stroiki mechanicznej krtani produkowały zrozumiałe dźwięki bliskie naturalnej ludzkiej mowie:

– Najmocniej przepraszam, że przeszkadzam. Przychodzę z polecenia mojego pana Pietera Schoonraada. Przyszedłem odebrać list polecający, o którym rozmawialiśmy.

– Przykro mi – powiedział pastor, choć słowa te wypowiedziane przez człowieka do maszyny były czymś niespotykanym, szczególnie kiedy były szczere i padły w Prowincjach Centralnych – ale musiała zajść jakaś pomyłka.

– Ośmielę się przypomnieć panu, że rozmawialiśmy kilka dni temu. Należę do rodziny Schoonraadów. Jestem Jax.

Niech to szlag. List. Zupełnie o nim zapomniał, pochłonięty sprawą rozpracowania siatki i rozmyślaniami nad własnym losem.

Męczeństwo oznaczało cierpienie. Słona kropla potu spłynęła mu po czole, zjechała po grzbiecie nosa i uszczypnęła w oko. Otarł twarz rękawem, ale mechaniczny zdążył zauważyć dyskomfort pastora. Trybiki zachrzęściły, kiedy klakier, Jax, przechylił głowę. Soczewki obróciły się ze świstem. Visser poznał, że zanim mechaniczny znowu się odezwał, uruchomiło się u niego fabrycznie implementowane *geas* niższego stopnia.

– Nie wygląda pan najlepiej. Czy mam wezwać medyka?

Visser zbył go lekceważącym machnięciem ręki.

– Obawiam się, że nie napisałem tego listu. Byłem zajęty.

Nieregularne chrobotanie Jaxa stało się jeszcze szybsze i głośniejsze. Pastor mógłby przysiąc, że klakier lekko się przygarbił. Znowu poczuł ukłucie w sercu. Gdyby stał przed nim człowiek, położyłby mu dłoń na ramieniu, lecz mechaniczny cały się trząsał i taki gest mógłby być niebezpieczny.

– Raz jeszcze najmocniej przepraszam, ale moje obecne *geas* nie pozwalają mi na powrót do państwa bez listu polecającego. Rodzina płynie w przyszłym miesiącu do Nowego Amsterdamu i przed podróżą muszą zostać dopełnione rozmaite formalności.

Cóż, skoro potrzebował pomocy, akceptując swoje męczeństwo – oto nadeszła. Napisanie listu zajmie mu chwilę, co da nakręcaczom czas, aby tu wparować i go zabrać. A jeśli jego wola osłabnie i jednak spróbuje się zabić, obecny tu sługa powinien mu w tym przeszkodzić.

Z pewnością zrobiłby to, gdyby uznał, że pastor stanowi zagrożenie dla samego siebie. Visser mógł nawet wyobrazić sobie scenariusz, w którym Jax wyrwa z zawiasów drzwi do zakrystii i udziela mu niechcianej pierwszej pomocy. Klakier w przypadku zagrożenia życia potrafił zmusić człowieka do opróżnienia żołądka. Pozwoliłaby mu na to chłodna kalkulacja zasad poddańczych, gdyż ewentualne uszkodzenie ciała podczas resuscytacji nie będzie miało znaczenia, jeśli dzięki temu maszyna przyczyni się społeczeństwu i zatroszczy o długowieczność pastora. Obojętne, co zrobi, i tak ostatecznie wpadnie w łapy horologów.

„Niech będzie pochwalona Twoja mądrość, Panie. Podążę ścieżką, którą dla mnie wybrałeś”.

– Przypomnij mi – powiedział – komu mam wystawić ten list?

Zmagając się z drzeniem swojego mechanicznego ciała, Jax odparł:

– Jak mniema mój pan, jesteś, panie, zaznajomiony z ministrem generalnym Nowego Amsterdamu, i czuje, że twoja wyjątkowa osobista atencja, jaką obdarzasz życie duchowe całej rodziny, pomoże jej osiąść w Nowym Świecie. – Przerwał i znowu przekrzywił głowę. – Czy powiedziałem coś niestosownego, panie? Wyglądasz na nieco zdenerwowanego.

Nowy Amsterdam! Visser powstrzymał się przed ponownym skierowaniem oczu ku niebu.

„Czy to naprawdę to, na co wygląda, Panie?”.

Cudowne wybawienie! A pomyśleć, że Visser w chwili słabości niemal wszystko zrujnował. Kilka minut wystarczyło, aby po jego dojmującym smutku pozostały tylko zawroty głowy. Tak Bóg nagradzał swoich wiernych. Pastor nareszcie ujrzał wiodącą naprzód ścieżkę, zobaczył pożądaną kulminację doczesnej pracy i możliwość dotarcia do kresu duchowej podróży.

Uśmiechnął się. Będzie dobrze.

– Napiszę ten list. Zaczekaj tu.

Klakier ukłonił mu się.

– Oczywiście, panie. Dziękuję, panie.

Visser zamknął za sobą drzwi zakrystii i postawił na sekretarzyku wyciągnięty z ukrytej armarii mikroskop. Skórzana tuba zaczęła turlać się po blacie. Zastawił ją onyksowym przyciskiem do papieru, żeby nie spadła na ziemię. Usiadł z piórem wiecznym w dłoni i stukając zatyczką o zęby, przejrzał ostatnią korespondencję ze starym znajomym, który opiekował się obecnie klerem w Nowym Amsterdamie. Na czystej, ozdobionej nagłówkiem papeterii napisał:

*Do czcigodnego wielebnego,  
ministra generalnego Langbroeka:*

*Mój drogi Coenraadzie,*

*pozdrawiam Cię serdecznie z Hagi. Odpowiadając na Twój list z zeszłego miesiąca: rozmawiałem z M.G. Hendriksem, który zaaranżuje dodatkowy transport do Nowego Amsterdamu. Kilkaset galonów niepoświęconej oliwy wypłynie do Ciebie jeszcze przed pierwszym dniem miesiąca. Czy dysponujesz może jakimiś informacjami na temat zawieszenia broni? Modlimy się, aby oznaczało ono koniec z zaburzaniem twojej posługi kapłańskiej. A teraz inna, przyjemniejsza sprawa. Pokornie powierzam pod Twoją opiekę szacowną i majątną rodzinę Schoonraadów, cieszący się dobrą opinią, poważany klan z Hagi. Schoonraadowie od dawna są oddanymi i niezłomnymi członkami naszej kongregacji. Będę zobowiązany, jeśli uznasz, że warto powitać ich w Nowym Amsterdamie osobiście. Szalejąca korupcja i defraudacja pieniędzy przez koncern bankowy van Althuisa i późniejsze kłopoty Centralnego Banku Nowego Amsterdamu, które niemal doprowadziły go do upadku – na pewno jesteś zaznajomiony z tym skandalem – były dla Mosiężnego Tronu nie lada utrapieniem. Pieter Schoonraad otrzymał bardzo trudne zadanie ponownego uczynienia Nowego Świata stabilnym centrum finansowym, co w pewnym sensie czyni go reprezentantem królowej Margreet. Okazana jego rodzinie dobroć naturalnie nie pozostanie bez wpływu na duchowe przewodnictwo Nowego Amsterdamu. Pieter Schoonraad to bystry, metodyczny człowiek i myślę, że nadaje się do wykonania zadania, które mu powierzono. Tak czy inaczej podróż przez ocean prowadząca na nieznaną brzegi będzie dla niego i jego rodziny zarówno przygodą, jak i próbą. A w takich chwilach solidne duchowe oparcie jest niczym balsam. Wyjazd Schoonraadów będzie bolesnym ciosem dla tutejszej społeczności i dlatego przyniosłaby mi ogromne pocieszenie pewność, że trafią pod Twoją egidę.*

*Daj mi, proszę, znać, kiedy dotrze do Ciebie olejek.*

*Twój jak zawsze pokorny przyjaciel*

*pastor Luuk Visser*

Złożył list, schował do koperty i zapieczętował, po czym napisał na niej: „Pastor Coenraad Langbroek, minister generalny Nowego Amsterdamu”. Kiedy kończył, usłyszał kroki jakiejś osoby idącej przez kościół. Poruszała się lżej i ciszej niż Jax. Człowiek. Horolodzy? Nagle aż się skrzywił, słysząc przeraźliwy, ponaglący pisk dziecka. Nie, nowy gość to nie żaden zegarmistrz ani jeden z ich mechanicznych drani, tylko ktoś jeszcze gorszy: Nicolet, najmłodsza Schoonraadka. Pastor, przygotowany na najgorsze, wziął do ręki list i mikroskop i opuścił zakrystię. Kościół zalatywał smarem i nagrzanym metalem. Domniemana spadkobierczyni fortuny Schoonraadów miała na sobie sukienkę z cynobrowej satyny i wstążki w tym samym kolorze wplecione w złote pukle. Podparta pod boki, łyptała na człowieka napędzanego mechanizmem zegarowym.

Pomiędzy rzędami ławek stała jej ludzka guwernantka, której imię Visser ledwie zapamiętał, Kathryn jakaś tam. Na jej twarzy malowało się skrajne zmęczenie lub rezygnacja, nie znał jej na tyle, żeby stwierdzić z całą pewnością. Na dygnięcie opiekunki odpowiedział skinieniem głowy. Pewnie szły z egzekucji na Binnenhofie.

– Jax – powiedziała dziewczyna – masz mnie zanieść.

– Oczywiście, panienko. Zrobię, czego wymagasz, jak tylko wykonam polecenie twojego ojca.

Ona jednak potrząsnęła głową z taką energią, że jej pukle niemalże poderwały się do lotu.

– Nie. Jalyksegethistrovantusie, żądam, abys mnie natychmiast podniósł.

Mówiąc to, tupnęła trzewikiem z czerwonej skóry w twarde marmur, co w oczach wielu dzieci było ostatecznym znakiem interpunkcyjnym. Jax wyrwał przed siebie niczym waleń trafiony harpunem przez wielorybników. Rozległy się chrupot zębatek i dźwięk naciągania sprężyny napędowej, na tyle donośnie, że aż zadrżały szyby okienne.

Visser westchnął. Cóż za nikczemna mała gówniara. Akceptacja męczeństwa dała mu chociaż tyle, że mógł mówić to, co zawsze chciał powiedzieć. Być może jego ostatnim czynem jako wolnego człowieka będzie nauczanie tej dziewczynki odrobiny ludzkiej przyzwoitości.

– Dobry wieczór, panienko Schoonraad – powiedział. – Czyżby jakiś problem?

– Jax się popsuł – odparła. – Nie chce robić tego, co mu każą.

Na Boga. Czy Nicolet naprawdę nie rozumiała hierarchii *meta-geas*? Czy może po prostu lubowała się w okrucieństwie?

„Chciałem ulżyć cierpiącemu biedakowi, a teraz udzielam lekcji na temat relacji pomiędzy ludźmi a klakierami bogatej, rozpuszczonej dziewczynce, która dorasta otoczona mechanicznymi”.

Przysiadł na najbliższej ławie. Położył obok siebie mikroskop i przybrał zamyślony, melancholijny wyraz twarzy. Tuba potoczyła się do oparcia ławy, a pastor sposepniał i podrapał się po brodzie.

– Ojej – powiedział. – Bo sęk w tym, że to...

Zreflektował się. Lata życia w Imperium, dopasowywania się, nauczyły go używać pogardliwego zaimka. Była to semantyczna sztuczka, która pomagała pielęgnować pewne zwyczaje, obedrzeć mechanicznych z tożsamości, pozbawić godności, odebrać cechy personalne, które mogłyby zaszkodzić pożądanej służalczości. Ale jego już to nie obchodziło.

– Skoro on nie wypełnia twoich poleceń, to znaczy, że jest popsuty. O to chodzi?

Kathryn się skrzywiła, ale Nicolet tego nie dostrzegła.

– Tak! – odpowiedziała.

Skonfliktowane ze sobą imperatywy wydanych przez Schoonraadów poleceń – okrutnie pokreślone obcesowym przywołaniem prawdziwego imienia klakiera – nie generowały prawdziwego paradoksu dzięki hierarchii *metageas* implementowanej każdemu mechanicznemu słudze.

Tak czy inaczej żądanie dziewczynki zwiększyło i tak już ogromną presję, która ciążyła na Jaxie i z którą ledwie dawał sobie radę. Oficjalnie należał do Tronu, dlatego życzenia królowej albo jej bezpośrednich przedstawicieli zawsze miały priorytet. Następnie, na mocy dziewięćdziesięciodziewięcioletniego wypożyczenia, zobowiązany był do posłuszeństwa swojemu tymczasowemu panu, którym prawdopodobnie był Pieter Schoonraad. Kolejne miejsca na liście zajmowali pozostali członkowie rodziny, począwszy od najstarszych. Następnie klakier, jak każdy, był zobowiązany służyć ludziom i ludzkości, co Visser miał zamiar wykorzystać.

Ale najpierw musiał powstrzymać tego rozwydrzonego bachora przed doprowadzeniem swojej zabawki do takich konwulsji, że gotowa się rozsypać po całym kościele. Jax trząsł się tak intensywnie, że wydawał się niemal przeźroczysty, jego zarys był rozmyty. Potrzeba wykonania rozkazu młodej panienki płonęła jasno w jego oczach. Lecz póki Visser nie umieści listu w rękach służącego, rozkazy starszego Schoonraada nadal będą powstrzymywać

Jaxa przed opuszczeniem tego miejsca. Kakofonia, jaką wydawało jego metalowe ciało, brzmiała niczym wóz pełen złomu pędzący z niekończących się schodów królewskiego Pałacu Letniego. Stopy klakiera szurały po marmurowej posadzce. Guwernantka skrzywiła się, rozdrażniona hałasem. Visser napotkał jej spojrzenie, ale kobieta przewróciła oczami i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „Co ja mogę zrobić? Młodość rządzi się swoimi prawami”.

Brak serca nie był jedynie domeną bogaczy.

Pastor podszedł do klakiera z listem w dłoni. Oczy mechanicznego zafiksowały się na kopercie, jedynej rzeczy, która mogła go wybawić z uścisku niewypełnionych *geas*. Lecz przez cały ten czas, kiedy tak drżał, patrzył przed siebie z obojętnym wyrazem charakterystycznym dla wszystkich służących. Niezmienne twarze klakierów produkowane były masowo, wytapiane z alchemicznego stopu gdzieś w Wielkiej Kuźni. Już bardzo wcześnie Huygens lub jego spadkobiercy zrozumieli, że dopracowanie tej technologii wymaga uwzględnienia ludzkiej psychologii. Dlatego też fizjonomia klakiera-służącego stanowiła przedmiot ostrożnych i uważnych prac, aby jego twarz nie zdradzała ani śladu niezależnego procesu myślowego zachodzącego w metalowej czaszce. Był to kolejny krok mający na celu odebranie osobowości mechanicznym, odczłowieczenie ich. Ale niegdyś, na samym początku klakierzy nosili zindywidualizowane, malowane maski zakrywające skomplikowany mechanizm kryjący się za szkieletową powierzchnią. Miejscowi artyści wymyślili wzory i istniał nawet spory popyt na stare maski, szczególnie w Delft. Taka z Verelst mogła pójść za parę ładnych guldenów. Visser widział niegdyś kilka takich w muzeum w Delft.

Zastanawiał się, zresztą całkiem często, co się działo za tym całunem bierności. Co Jax myślał o Nicolet, tak w głębi prywatnych rejonów swojego spętanego serca? Czy faktycznie była mu kompletnie obojętna? Może nią gardził? Albo ją kochał? Pastor nie musiał jednak odczytywać jego mimiki, aby stwierdzić, jak bardzo jest nieszczęśliwy i jakie cierpi katusze. Nie zwlekając już dłużej, podał mechanicznemu list.

Brzęki i szczęki wydawane przez roztrzęsione ciało Jaxa ustały, kiedy tylko jego palce zacisnęły się na kopercie. Hałas wydzielany z powodu przeciążenia ucichł i zastąpiło go zwyczajne tykanie charakterystyczne dla klakiera.

Jax przestał nerwowo szurać nogami po marmurowej podłodze, po kościele nie roznosiło się już echo, choć w powietrzu nadal wisiał swąd nagrzanego metalu.

– Proszę, oto list polecający.

Klakier pokłonił się raz jeszcze.

– Dziękuję w imieniu swojego pana.

Jax się odwrócił, chcąc posadzić sobie Nicolet na ramionach, ale zanim to zrobił, odezwał się Visser:

– Panienko Schoonraad? Chciałbym się dowiedzieć jeszcze czegoś o popsutym słudze, jeśli można.

– Zepsuł się. Nie podniósł mnie, kiedy mu kazałam.

– Poważny problem. Ale wie panienka, nie tak łatwo naprawić uszkodzonego klakiera. Może nawet będzie trzeba go przewieźć do budynku Gildii, a horolodzy rozbiorą go, żeby znaleźć problem. A ty i twoi rodzice do tej pory zdążycie już odpłynąć. Tata musiałby pewnie nająć kolejnego klakiera na miejsce Jaxa. Podobno trochę to trwa w Nowym Świecie. Jejku. Mogą minąć nawet i miesiące.

– Ale ja nie chce nikogo innego. Chcę Jaxa.

– Cóż, to może spróbujemy zawęzić problem? Jeśli uda nam się powiedzieć horologom, co dolega Jaxowi, szybciej będą mogli go naprawić.

Visser kątem oka zerknął na Kathryn. Guwernantka przygryzała wargę i patrzyła na niego z nietęgą miną. Była wyraźnie niespokojna albo zmieszana tym doborem słów. Nicolet oczywiście niczego nie zauważyła, skupiona na afroncie, bo nie dostała tego, co chciała.

– Jest zepsuty, bo się nie słucha – położyła nacisk na ostatnie słowo i ułożyła usta w dzióbek, jakby zasysała watę cukrową; spojrzała na Vissera z szeroko otwartymi oczyma. – A czy pan wie, co robią nieposłusznym klakierom? Ja widziałam. Topią ich!

– Tak, wiem. Niech no o coś panienkę zapytam. Czemu Jax tutaj jest?

Nicolet majstrowała coś przy włosach, udając, że zaplątała się w nie srebrna wsuwka. Gdy guwernantka doskoczyła do niej, żeby poprawić wstążeczki, dziewczyna wymamrotała:

– Mój ojciec go tu przysłał.

– Czyli jest mu posłuszny.

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami. – Au, nie tak mocno.

– A co, jeśli polecenie, jakie mu wydano, nie zostało jeszcze wykonane, kiedy kazałaś Jaxowi się podnieść? Może czekał na to? – zapytał pastor, wskazując na trzymaną przez klakiera kopertę.

Odwróciła wzrok i wyszeptwała:

– Nie mógłby wtedy odejść.

– Ale nałożyłaś na Jaxa kolejne *geas*. Takie, których nie mógł dopełnić. Nalegałaś i rozrywało go to od środka.

Kathryn chrząknęła.

– Czy pastor nie miał na myśli, że coś rozrywało... „to” od środka? – Lojalna guwernantka spojrzała na swoją podopieczną, chcąc chronić ją przed podobnymi bezceństwami.

Lecz Visser, który utwierdził się w przekonaniu, że chce się poświęcić ścieżce męczeństwa, mógł sobie pozwolić na odrobinę herezji.

– Myślę, że dla dobra tej lekcji możemy przyjąć, że Jax jest osobą.

Nawet mała Nicolet się oburzyła.

– Tykający ludzie to nie ludzie, tylko głupie maszyny. Każdy to wie.

– Ale wyobraźmy sobie, że Jax może czuć to, co ludzie.

Kathryn położyła dłonie na ramionach Nicolet.

– Na pewno jest pastor zajęty. Chyba powinniśmy już iść.

– Nonsens – odparł. – Szerzenie chrześcijańskich wartości jest częścią i podstawą mojej doczesnej posługi kapłańskiej. Tak jak pielęgnowanie odpowiednich zasad moralnych mojej młodej trzódki.

Guwernantka wydawała się skrajnie niezadowolona, mimo to nie wyprowadziła podopiecznej z Nieuwe Kerk. Pastor podrapał się po brodzie. Musiał postać mikroskop przed nadejściem nakręcaczy, ale pocieszał się myślą, że Pan zadba, aby udało mu się to zrobić, i może poświęcić chwilę, aby pomówić o empatii. Zmiana nastawienia wobec mechanicznych to prawdziwa transformacja pokoleniowa. Należy zacząć od najmłodszych.

– Jak się panienka czuje, kiedy mama się na nią gniewa?

Dziewczynka wymamrotała coś, czego nie usłyszał. Guwernantka złajała dziecko:

– Niech panienka odpowie.



- Jestem wtedy zła. Smutno mi.
- A kiedy i matka, i ojciec się gniewają?
- Jeszcze gorzej.
- A czy zdarza się panience płakać?
- Nie.

Kathryn uderzyła językiem o podniebienie.

- Kłamstwo damom nie przystoi.

Nicolet się splotniła.

- Czasem.
- Podejrzewam, że Jax czuł się podobnie, kiedy nałożyłaś na niego kolejne *geas*. Pewnie jakbyś karała go i ty, i twój ojciec.
- Ojej – odparła.

Cóż, przynajmniej spróbował.

- Rozumiem, że nie możesz się doczekać swojej przejażdżki, ale zastanawiałem się, czy nie mógłbym chwilę z Jaxem porozmawiać.

Nicolet skubała swój złoty pukiel. Znudzona i wyniosła niczym sama królowa, rzekła:

- Jalyksegethistrovantusie, uwalniam cię od obowiązku.

A teraz najtrudniejsza część. Nie dość, że już ryzykowne było samo nakłonienie Schoonraadowego klakiera do wykonania brudnej roboty, to jeszcze musiał to zrobić na oczach Nicolet i jej guwernantki. I musiało to jednak brzmieć cokolwiek niewinnie. Historyjka, jaką miał zamiar im sprzedać, musiała być nieskazitelna i poza wszelkimi podejrzeniami. Bo jeśli nakręcacz go przyłapią i prześwietlą jego ostatnie kontakty, ta niecodzienna prośba na pewno wyjdzie na jaw i agenci przechwycą Jaxa. Być może nie powinien był tak szarżować przy guwernantce.

Wywijał tubą z mikroskopem, starając się trzymać ją poza zasięgiem lepkich rąk dziewczynki, które ta wystawiała chciwie, chcąc złapać urządzenie. Cóż to byłoby za tragedia, gdyby stracił taką okazję. Nawet jeśli oznaczało to nałożenie na tę biedną istotę kolejnych *geas*, i to długoterminowych. Guwernantka wydawała się oburzona:

- Nicolet!

Dziewczynka się zreflektowała i opuściła rękę.

- Przepraszam. Ale co to jest? – zapytała; nawet Kathryn wydawała się zainteresowana. – Teleskop?

Skórzana tuba miała niegdyś kolor mahoni, ale zdążyła już wyschnąć i nawet gdzieś tam popękać. Przyrząd miał jakieś trzydzieści centymetrów długości i pięć średnicy. Na obu końcach tuby znajdowały się zmatowiałe mosiężne pierścienie utrzymujące kulę z matowego szkła. Trzecia obręcz okalała środek tuby. Niegdyś można było ustawić odległość pomiędzy soczewkami, obracając pierścienie w przeciwne strony. Ale ten środkowy tkwił od dawna nieruchomo. Poza tym ustrojstwo lekko załatywało amoniakiem.

- O, była panienka blisko. To mikroskop. Nabyłem go kiedyś w Leiden jako interesującą ciekawostkę. Jest bardzo stary.

Nicolet wyrecytowała szkolną formułkę, jak tylko potrafią to przedwcześnie rozwinięte, ale niedojrzałe dzieci z zamożnych rodzin:

– Mikroskop wynalazł van Leeuwenhoek. Każdy to wie.

Jej wykształcenie, tak jak innych dzieci, obejmowało rozległą wiedzę o historycznych korzeniach Imperium, na których poznanie kładziono nacisk.

Klakierzy byli co prawda szczytem osiągnięć technicznych, ale siedemnastowieczne Niderlandy mogły się pochwalić miriadami naukowych i artystycznych innowacji. Choć rzecz jasna historia, której uczono dzieci, była nadmiernie uproszczona, rozcieńczona, niemal alternatywna.

– Tak, lecz jego mikroskopy w porównaniu z tym były dość proste. Ten jest złożony – powiedział pastor, pokazując na końcu tuby. – Czyli ma więcej niż jedną soczewkę.

– Chcę zobaczyć! – zażądała.

Visser przygryzł wargę. Nie mógł jej odmówić. Nie, jeśli chciał ciągnąć tę szaradę. Guwernantka znowu upomniała swoją podopieczną:

– Nicolet...!

– Nie, nic się nie stało. Oczywiście, że może zobaczyć.

Pastor podał dziewczynce tubę ze świadomością, że być może – dosłownie – powierza przyszłość Nowej Francji w nieodpowiednie ręce.

Nicolet szukała czegoś, co mogłaby obejrzeć pod mikroskopem. Spojrzała na rysy na marmurowej posadzce kościoła, które zostawiły metalowe stopy Jaxa, i przyklęła. Zastłoniła dłonią jedno oko i zacisnęła rękę na tubie.

Visser odsunął się na bok, żeby nie zasłaniać jej światła. Pochyliła głowę i to przysuwała się, to odsuwała od okularu, próbując uzyskać jak najlepszą odległość. Sfrustrowana, obróciła gwałtownie mikroskop – pastor aż się skrzywił – i spróbowała raz jeszcze, tym razem patrząc z drugiej strony. Zasmuciła się. Po paru minutach eksperymentowania nareszcie się poddała, podniosła mikroskop i rozejrzała się po kościele.

– Nic nie widzę – powiedziała. – Zepsuty.

Wykonała pogardliwy gest, niemalże rzucając urządzenie pastorowi. Za uchem Vissera zebrała się chłodna kropla potu.

– Tak. Obawiam się, że nie dbałem o niego zbyt dobrze, ale jak mówiłem, jest dość stary. Może nawet starszy – dodał – niż najstarsi klakierzy.

Kathryn mrugnęła. Nawet Nicolet ucichła.

– Lecz nie ma ich trwałości, jak zresztą panienka zauważyła, i obawiam się, że nie nadaje się już do niczego. Dzisiaj korzystamy ze szkła znacznie lepszej jakości i trudno orzec, jak długo leżał nieużywany. Na pewno jego lata świetności dawno minęły, bo skóra przez długi czas nie była oliwiona. Niegdyś może i był technologicznym cudem, ale teraz to starość. Ale – kontynuował, machając mikroskopem przed oczami dziewczynki – to prawdziwy historyczny artefakt, nie uważasz?

Nicolet wzruszyła ramionami.

– No, jest stary.

Visser zwracał się ciągle do całej trójki: dziewczyny, jej guwernantki i mechanicznego człowieka. Jednak nie licząc zwyczajowego tykania – które stanowiło swoisty dźwięk tła całego Imperium – podczas gdy kontynuował swoją prezentację, Jax milczał, wydawał się zupełnie niezainteresowany mikroskopem. Czy klakier wyczuł coś niezwykłego? Czy jego alchemiczne mechanizmy były uczulone na obecność zakazanej technologii? Jeśli tak, inne *metageas* zmuszą go do zatrzymania i wydania Vissera. Dopadną go prędzej czy później. Lecz Pan nie pozwoli na to, zanim jego sługa nie wypełni swojego obowiązku względem Stolicy Apostolskiej.

– Ano jest – odparł pastor. – Mam znajomego, który prowadzi, a może raczej prowadził niewielkie muzeum w Nowym Amsterdamie. Miał spore ambicje... szczerze mówiąc, porywał się z motyką na słońce. Tak czy inaczej była to inicjatywa godna podziwu. Jego zamiarem było przedstawienie Nowemu Światu narodzin Imperium. – Chmury za wysokimi oknami zaczęły się przersedzać i słońce odbijało się od niewielkich kryształków, które osiadły w fałdach stuły; pastor strząsnął je, jakby były ledwie przypadkowymi kłaczkami. – Niestety, podczas wojny był zmuszony zamknąć swoje muzeum i sprzedać część kolekcji. Teraz jednak, kiedy konflikt ma się ku końcowi, zamierza ją odbudować i ponownie otworzyć muzeum. Myślę, że ten mikroskop będzie znamienitym eksponatem. Bo, jak wiecie, nasi kuzyni zza Atlantyku nie są tak zakochani w zdobyczach Imperium jak my.

– Będziemy mieli jeden z największych domów w całym Nowym Amsterdamie. Tak mówi mama.

Visser zachował spokojny i opanowany ton:

– Z pewnością. Szkoda, że nie będę mógł go zobaczyć, ale obawiam się, że czas tak długich podróży minął już dla mnie bezpowrotnie. Zastanawiam się, czy mógłbym poprosić twoją maszynę o zrobienie czegoś na moją prośbę.

Kathryn zacisnęła usta. Zadawanie podobnych pytań nie należało do dobrego tonu. Powinno się je zresztą zadać panu Jaxa, osobie, która podpisała umowę najmu. Ale to formalność. Jax wytłumaczy wszystko Schoonraadom, a Nicolet zachowywała się jak wierna imitacja królowej. Machnęła pogardliwie swoją drobną rączką. Pastor zwrócił się do Jaxa:

– Mój znajomy nazywa się Frederik Ahlers – nie było to imię, które dano mu na chrzcie, tego nie znał i podejrzewał, że nawet Talleyrand nie dysponuje podobną wiedzą, lecz pod takim działał i służył sprawie *ondergrondse grachten*, podziemnych tuneli. – Ma piekarnię przy Bleecker Street w Nowym Amsterdamie – mówił dalej, podnosząc mikroskop i nań wskazując – i prosiłbym cię, abyś mu to zaniósł. Powiedz, że pastor Luuk Visser z haskiego Nieuwe Kerk przesyła najserdeczniejsze pozdrowienia. Zrozumiałeś?

– Tak – odparł Jax.

– Powtórz, proszę, co ci powiedziałem.

– Po przybyciu do Nowego Amsterdamu mam zanieść mikroskop panu Frederikowi Ahlersowi, który prowadzi piekarnię przy Bleecker Street. Powiem mu, że przesyła go pastor Luuk Visser. Czy tak, proszę pana?

– Dokładnie – odparł duchowny; stawy w knykciach Jaxa skrzypnęły, kiedy wyciągnął swoje mechaniczne palce i otworzył dłoń, żeby odebrać teleskop. – Lecz obchodź się z nim niezwykle ostrożnie, to rzadki i niezastąpiony antyk.

– Oczywiście, proszę pana. Będę uważał, proszę pana.

Klakier odebrał skórzaną tubę tak ostrożnie, jak tylko zdołał; równie dobrze mógłby brać na ręce wyjęte z klatki pisklą podczas Wielkanocy. Dreszczyk ulgi przemieszanej z obawą przebiegł Visserowi między łopatkami.

Pastor zwrócił się raz jeszcze do Nicolet Schoonraad:

– Dziękuję tobie i twojej rodzinie za okazaną mi szczodrość, panienko.

– Zanieś mnie do domu, Jax – powiedziała dziewczynka.

– Oczywiście, panienko.

Stawy skokowy, kolankowy i biodrowy klakiera zgięły się na tyle nisko, że dziewczyna łatwo mogła się wdrapać na jego ramiona, chwytając za twarz i wciskając czuby swoich bucików z czerwonej skóry pomiędzy elementy metalowej klatki, gdzie ukryto mechanizm. Gdy usadowiła się na barkach Jaxa, ten powstał. Visser zastanawiał się, jak to jest jechać na klakierze i czy odwrócone kolana zapewniają maszynom jakąś szczególną lekkość chodu. Jax skierował się do wyjścia z zamiarem opuszczenia kościoła, lecz guwernantka spojrzała wymownie na kołyszącą się na ramionach mechanicznego dziewczynkę:

– Nicolet, podziękuj pastorowi Visserowi za jego czas. Dama zawsze musi być uprzejma.

– Dziękuję, pastorze.

– Nie ma za co, panienko Schoonraad – powiedział Visser i skinął uprzejmie głową, zwracając się do Kathryn. – I miłego dnia dla pani.

Kobieta dygnęła w odpowiedzi, ale był to gest powierzchowny i niedbały. Lub biorąc pod uwagę wyraz jej oczu, nieszczerzy.

Zamożna dziewczynka pojechała na maszerującym mechanicznym przez kałuże i słoneczne plamy wczesnego jesiennego popołudnia.

Zanim Visser pozwolił sobie na tłumione od dawna westchnięcie, odczekał, aż Kathryn zatrzaśnie za sobą drzwi. Kolana mu zmiękły, jakby zmieniły się w gorący wosk. Oparł się o ławę. Zimna kropla potu spłynęła mu z kępki włosów do małżowiny ucha. Jego serce nie mogło się zdecydować, czy powinno zwolnić, ciesząc się chwilową ulgą, czy nadal walić jak młotem, dopóki po niego nie przyjdą.

Zrobił, co mógł. Jeśli dopisze im niesamowite szczęście, jego paczka faktycznie może dotrzeć do Ahlersa, a potem trafić do rąk Talleyranda. Jego zadaniem jest już tylko zostać pojmanym.

Poszedł z powrotem do zakrystii, gdzie w szafie znalazł świeżo zdechłą mysz. Leżała na boku pośród rozrzuconej trutki – przypadkowa ofiara kryzysu wiary.

Zastanawiał się, czy będzie miał czas pochować biedne stworzenie, zanim przyjdą nakręcacze.